

Byłem w Polsce – 4

5 maja 2018

A wokół nas Warszawa tętniła życiem, uśmiechała się pięknymi miejscami, nowymi domami i czystością. To nas przez cały czas radowało i jednocześnie zadziwiało. Było czysto i o tę czystość dbano w widoczny sposób. Nawet tam, gdzie kiedyś różnie z tym bywało. Daleki Targówek, Żąbki, Szmulki, a także Marymont czy Młociny – wszystko to było nie do poznania.

Wszelkie powroty, szczególnie w znajome miejsca, wiążą się z oczekiwaniami, że wszystko będzie tak jak kiedyś. W naturalny sposób myślimy, że będzie tak jak w „Panu Tadeuszu” i ujrzymy „też same sprzęty, też same obicia, z którymi się zabawiać lubiliśmy od powicia”! A przecież nic nie pozostaje takie samo!

W naturalny sposób szukamy dawnych miejsc, domów, drzew i ulic, które z jakichś względów utkwiły w naszej pamięci, i zaraz potem przychodzi nam do głowy myśl, żeby odszukać dawnych kolegów i znajomych, których znaliśmy wtedy i którzy tworzyli lub uzupełniali nasze wspomnienia.

Duży błąd!

Wielokrotnie przekonywałem się o tym, że lepiej nie wracać. I dziwna rzecz – przecież moim „odwiecznym” hobby była i jest genealogia i siłą rzeczy siedzę w tej przeszłości, nurzam się w niej i obracam ją na różne strony, a jednak – i zawsze to będę powtarzał – emocjonalne powroty do przeszłości to błąd! Badanie archiwalnych dokumentów i budowanie rodzinnych drzew to jedno, ale próby ożywiania przeszłości to coś całkiem innego!

„Tamci ludzie” i „tamte” miejsca już nie istnieją i, co najważniejsze, nigdy nie wrócą! A nawet gdy nieśmiało wracają, to zawsze są inne! Prawie zawsze pozbawione uroku tamtych dni. Czasem na siłę próbujemy wycisnąć łzę, zadumać się, zatrzymać

czas, ale to wszystko nadaremnie, bo tak jak powiedziałem – przeszłość nie wróci już nigdy!

Zdarzyło mi się, że też jeździłem do dawnych miejsc, siadywałem tam gdzie kiedyś, patrzyłem na te same krajobrazy, ale zawsze, powtarzam zawsze były one tak dalece inne, że w sumie żałowałem tych powrotów.

Jasne, że nie można się od przeszłości oderwać, bo przecież trudno pozrywać kontakty, znajomości itd., ale co innego jest normalne życie, a co innego sentymentalne, łzawe powroty na „cmentarze” i próby „wykopywania trupów”! One – z całą pewnością – nie zmartwychwstaną!

Jestem pewien, że wiemy, o co chodzi!

Mówię o tym przy okazji wizyty u naszych schorowanych (?) sąsiadów. Znaliśmy ich kiedyś, pili i tańczyli, ale wszystko to było inne i naprawdę nie mówię tego dlatego, że rozmowa zeszła na „miękkie masy kałowe” pięknej pani domu...

W czasie pobytu w Polsce parę razy miałem małą chętkę podzwonić tu i ówdzie, dowiedzieć, jak się tam komuś ułożyło, ale po małym zastanowieniu zrezygnowałem...

Dla ilustracji tego, co napisałem o niemożności powrotów do dawnych lat ,przytoczę takie oto zdarzenie:

Moi dziadkowie mieli przed wojną piękny majątek ziemski nad Zbruczem na złotym, pszenicznym Podolu. Obszerny dwór z fontanną na gazonie, angielski ogród, folwark i w ogóle gospodarkę jak się patrzy. To było rodzinne gniazdo od pokoleń. I zdarzyło się, że 17 września 1939 roku wszystko to runęło! Niezwyciężona Armia Czerwona wyrzuciła mieszkańców, splądrowała majątek, wyrąbała z salonu posadzkę, a na fortepianie zostawiła wielką, bolszewicką kupę!

Dziadzia wywieziono „na tyły Rosji”, a babcię z dziećmi (w tym moją Mamę) wsadzono na furmankę i pogoniono w nieznane.

„A jedźże ty sobie krwiopijko do jasnego czorta i żeby cię nasze proletariackie oczęta nie oglądały na ziemi, na naszej...”.

Potem była okupacja, różne zagmatwane, wojenne losy, a jeszcze później dożywanie reszty dni w domu rodziców, a moich pradziadków, który po 45. szczęśliwie znalazł się w obrębie Polski Ludowej, a nie po sowieckiej stronie.

Moi dziadkowie nigdy się z tą dziejową niesprawiedliwością nie pogodzili. Tak zresztą jak i wielu, wielu innych. Ostatecznie przeszło dwadzieścia tysięcy polskich dworów i gospodarstw zostało tam – za czerwonym kordonem... I przez wiele lat nie było do nich żadnego dostępu.

W latach 90. wszystko się – cudownym zrządzeniem Boskim – odmieniło i moja Mama ze swoim bratem mogli odwiedzić miejsce swojego dzieciństwa, kraj marzeń, owiany żalem i tęsknotą, wymodlony i wypłakany. Ich rodzice, a moi dziadkowie, już nie żyli.

W jakiś czas potem rozmawiałem z nimi o wrażeniach.

No więc byli tam i widzieli.

Dworu już nie było, stajni cugowej też nie, nawet mały cień śladu nie został po angielskim ogrodzie, a miejsca, gdzie była piękna, biała fontanna, nie umieli nawet zlokalizować. Zastali pustkę, wałące się baraki i jakiś przeraźliwy smutek pustych pól i stepów. Z dawnej świetności pozostał jedynie zarośnięty trawą ułamek wejściowych schodów i to wszystko. No i jeszcze jedno – może najważniejsze:

– Małgonia! Nie poznajesz? To ja – Ksenia – pokojówka... Stara babina śmiała się bezzębnymi ustami i kuśtykała w stronę mojej Mamy.

Ci ludzie, którzy pamiętali i przetrwali, byli jedynym wspomnieniem dawnych lat!

I wuj – na zakończenie tej relacji – dodał ze łzami w oczach:

– Zastaliśmy ruinę i brzydotę. Nie powinniśmy byli tam wracać...

Wszystkie nasze zeszłoroczne, polskie wizyty (a jak już parokrotnie mówiłem, było ich pięć) były jednak ciągłym ocieraniem się o przeszłość. I tego nie można było uniknąć.

Przede wszystkim likwidowaliśmy stary dom. Już wtedy – w kwietniu 2017 – zaraz po przeprowadzce mamy ze szpitala do Domu Opieki było jasne, że jej powrót do normalnego, samodzielnego życia jest niemożliwy.

Leżała i cały czas nie mogła do siebie przyjść. Udar związał jej mowę i zdolność formułowania nawet najprostszych zdań. Czasem wydawało się, że jest nieco lepiej, ale potem jej stan wracał do apatycznego trwania „urozmaicanego” jedynie ciągłym poprawianiem kołdry i próbami ściągnięcia pampersów.

A prócz tego byliśmy otoczeni chorobami, niedołężnością i starością. Pokolenie naszych rodziców definitywnie żegnało się ze światem. Niedobitki walczyły po domach i szpitalach, ale była to walka z góry skazana na przegraną.

* * *

A wokół nas Warszawa tętniła życiem, uśmiechała się pięknymi miejscami, nowymi domami i czystością. To nas przez cały czas radowało i jednocześnie zadziwiało. Było czysto i o tę czystość dbano w widoczny sposób. Nawet tam, gdzie kiedyś różnie z tym bywało. Daleki Targówek, Ząbki, Szmulki, a także Marymont czy Młociny – wszystko to było nie do poznania. A jeździliśmy tam wszędzie – czasem całkiem bez celu – często gęsto po to tylko, żeby oderwać się od sortowania starych ubrań, opróżniania szaf i ciągłego odkurzania.

Dom bowiem, który powoli, krok po kroku likwidowaliśmy, był typowym, polskim domem, gdzie nigdy się niczego nie wyrzucało, bo wszystko mogło się przydać. W konsekwencji strych, piwnice

i mieszkanie zawałyły rzeczy – czasami kilkudziesięcioletnie, stare, niemające już żadnej wartości – może jedynie sentymentalną. Męskie garnitury z lat pięćdziesiątych, szerokie, letnie spódnice z plastikowymi pasami – takie jakie noszono sześćdziesiąt lat temu, stare walizki, kapelusze, nieprzebrana ilość koszul, płaszcze, wdzianka i szlafroki... Całe wory starych butów, kołdry i pledy, często nadżarte przez mole i myszy. Nie ukrywam, że cały czas rozglądałem się za czymś ciekawym. Pewnie, że dobrze by było znaleźć zatknięte gdzieś za krokwią „złoto i dulary”, ale akurat nie mieliśmy takiego szczęścia.

Podczas ścinania leszczynowego żywopłotu, w czasie rozmów z sąsiadami parę razy dawano mi do zrozumienia – robiąc przy tym znaczące miny – że warto szukać, może nawet rozebrać dach i przekopać ogród, bo to „panie – nigdy nic nie wiadomo...”.

„Dularów” nie znalazłem, ale wpadły mi w rękę bardzo ciekawe papiery, które studiowałem później z zapartym tchem. Wrócę do tego jeszcze.

No więc chcąc się od tego sprzątanía i sortowania starych rzeczy trochę oderwać, jechaliśmy do miasta, żeby pochodzić i pooglądać.

Starówka była na pierwszym miejscu. Wybraliśmy się tam w okropnie zimny dzień. Początek grudnia. Z Wybrzeża Gdańskiego zjechałem w Sanguszki, koło Mennicy, i zaparkowałem na Wójtowskiej. Potem spacer Freta. Zmarznięci na kość weszliśmy do Samsona, żeby się trochę rozgrzać. W latach sześćdziesiątych „Pod Samsonem” była na tej ulicy chyba jedyną restauracją. Potem, już za wczesnego Gierka, otworzono prawie naprzeciwko małą herbaciarnię „U Pana Michała”.

Wtedy, na Starówce było tylko kilka miejsc, w których można było w miarę dobrze wypić i zjeść. Przede wszystkim „Fukier”, ale to była tylko winiarnia. Na tej samej ścianie „Krokodyl”, a dalej „Bazyliszek”, który związał się później z Horteksem,

gdzie dawano wspaniałe desery. Może zresztą nie tak wspaniałe, bo w drugiej połowie lat siedemdziesiątych doszło do głośnego procesu ludzi Horteksu, agentów, dyrektorów i specjalistów, którzy tanio kupowali zepsute bakalie, ładowali je do lodów, kremów i wypieków i robili wielkie pieniądze. Były tam jeszcze sprawy łapówek, nierzetelnego sanepidu, ale szczegóły pouciekały mi jakoś z pamięci. Pamiętam tylko – i to było ponure wspomnienie – że w tamtych latach nad takimi przestępstwami wisiała groza kary śmierci. Wszyscy pamiętali, co się stało z Wawrzeckim w osławionej aferze mięsnej! Za łapówki i jakieś tam malwersacje w mięsnej branży zawisł na szubienicy za bramami więzienia na Rakowieckiej.

W głowie się nam to podówczas nie mieściło! To był rok 1965 i wraz z kolegami słuchaliśmy sprawozdania z tego procesu na małym, tranzystorowym radjku. Zresztą co tam ja i moi koledzy! Nikt nie mógł dać wiary! Rzeczą wykraczała poza gomułkowskie normy i tchnęła głębokim stalinizmem, Urzędem Bezpieczeństwa i powojennymi praktykami stosowanymi w trakcie ujarzmiania społeczeństwa. Kara śmierci za przestępstwo gospodarcze? Nie, tego nie było od czasów, gdy na początku lat pięćdziesiątych ścigano ludzi za handel złotem.

No więc te procesy pracowników Horteksu znacznie zachwiały zaufaniem warszawiaków do lodów i ambrozji. Wtedy jednak, gdy były jeszcze nowe i świeże, cieszyły się ogromną popularnością.

Idąc dalej wzdłuż staromiejskiego Rynku, przy wylocie Jezuickiej był klub „Largactil”. Schodziło się w dół, do piwnicy, gdzie było wielu studentów, sino od papierosowego dymu, wino i gorące dyskusje. Było też i śpiewanie, jakieś miniwykłady i wszystko to zbliżało i stwarzało wspaniałą nastrój.

Tam właśnie poznałem kiedyś Stanisława Manturzewskiego – ciekawego badacza warszawskiego podziemia, gangów i dróg ich powstawania. Manturzewski – trochę reżyser, trochę

scenarzystą, trochę aktor, były dziennikarz „Po prostu” i w rzeczy samej interesujący facet. Wróć jeszcze do niego, ale na razie wspomnę tylko działające do dziś „Kamienne Schodki” – restaurację na drugim końcu Rynku, gdzie podawano bardzo dobrą kaczkę, po którą czasami ustawiały się kolejki.

Tuż koło Rynku, na rogu Piwnej i Zapiecka, była restauracja „Ring” Jerzego Kuleja. Bardzo dobrze pamiętam jej otwarcie, bo sprawa była szeroko reklamowana. Na otwarciu spodziewano się wielu sportowców, uczestników olimpiad i mistrzostw świata... Mówiono, że ma przyjść Komar, Badeński, bokserzy z kadry – jednym słowem śmietanka. Tłum był okropny i niewiele z tego widziałem, ale potem, jak emocje wychłodziły, bywałem tam nie raz i nie dwa, chociaż w sumie nie tak długo, bo knajpa padła po dwóch latach. Dziwne to wszystko było, bo Kulej boksował w Gwardii, miał stopień w milicji i w ogóle był protegowany przez władze, a jednak... Różnie o tym mówiono, ale dziś po tylu latach trudno się wdawać w jakiekolwiek spekulacje. A zresztą kogo by one interesowały?!

Idąc Piwną, dochodziło się do Wąskiego Dunaju, mały uskok i już Szeroki Dunaj, a na jego ślepym końcu restauracja „Rycerska”. Z dansingiem!

„A bryzoł tam dawali marzenie! Schabowy niech się schowa, antrykocik niech się schowa...”.

Tak to mniej więcej wtedy wyglądało, chociaż ten miniprzeglądzik nie jest pełny.

To, co oglądaliśmy teraz, było tak dalece inne, że prawie jak z innego świata.

Co krok kawiarenka, bar, knajpka... Na środku Rynku lodowisko, a wokół niego kilkanaście domków z grzonym winem, pizzą, chlebem ze smalcem i kiełbasą itd. Ogromna choinka, restauracyjne stoliki otoczone dającymi ciepło pochodniami, mnóstwo młodych ludzi, uśmiechniętych, dobrze ubranych, bawiących się na i wokół ślizgawki. Dla nas to był inny świat, ale – jak się

okazało – nie dla wszystkich.

Otóż na tyłach Rynku – od strony murów Barbakanu na Krzywym Kole, jest stare publiczne WC, które pamięta chyba przedwojenne czasy. Nie mogłem sobie odmówić przyjemności odwiedzenia tego miłego przybytku.

W prywatnych rękach rozkwitł wspaniale! Czystość, obrazki na ścianach, kwiaty, a nade wszystko ta sama pani, która wtedy też tu pracowała i zbierała opłaty. No i – już po zapłaceniu – pogaduchy.

– Pan z Kanady? Wyjechał pan, co? Jasne, dobrze pan zrobił. Teraz to już nie to co kiedyś! Pamięta pan za Gierka?

– Co też pani mówi? A sklepy, wszędzie dobrobyt, buduje się... Europa!

– Panie, jaki dobrobyt, jakie sklepy?! Pomieszkaj pan trochę, a potem mów! Chce się pan zamienić? Ja pojadę do Kanady, a pan posiedzi w tym kiblu, dobrze?

Nie chciałem przeciągać tej interesującej wymiany zdań, więc wyszedłem – tym bardziej że Krysia czekała na mnie przy murach Barbakanu i marzła okropnie na grudniowym wietrze.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net